

POWRÓT NA STARY BRZEG



„Rataje stanowią będą za kilkanaście lat jedną trzecią wielkości obecnego miasta...”

W historycznym rozwoju Poznania rok 1253 uważa się za datę przełomową. Ówczesny władca kraju Przemysław I — jak się okazało — mąż niezwykle przewidujący, lokował nowe miasto na lewym brzegu Warty. Książę, pragnąc stworzyć z Poznania stolicę państwa wyciągał wnioski z położenia ówczesnego grodu — na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych ze Wschodu na Zachód i z południa ówczesnej Europy nad Bałtyk. Istniała zatem szansa — przez kontakty handlowe — uczynić z Poznania ośrodek wymiany towarowej, ośrodek pracy rzemieślników różnych zawodów.

Niestety, w rozwojowych koncepcjach księcia nie mieścił się skromny obszar na prawym brzegu — ówczesna Śródka z przyległościami. Nie mogło być mowy o rozbudowie takiej osady, jakim był ciasny Ostrów, nie dawała możliwości rozwoju własnej osady śródecka, wciśnięta między bagna. Padł zatem wybór na lewo- wóbrzeźną osadę św. Gotarda.

Decyzja nie była łatwa, choćby ze względu na koszty inwestycyjne (tak!), jakie spadły na osiedleńców. Nie była też prosta i dlatego, że degradowała wówczas już dość zamożną Śródkę, urastającą w znaczenie. Wszak nie kto inny, jak właśnie bogatsza część ludności tego miasta przeniosła się do nowego miasta, by w nim — wokół nowo wytyczonego rynku — budować nowe domy.

Decyzja Przemysła I, choć prze-myślana i mądra, na wiele wieków zaciążyła nad rozwojem Poznania. Określenia „zaciążyła” nie należy tu jednak traktować negatywnie. Wszak wieki całe udowodniły, że miasto istotnie rozwijało się pomyślnie, wyjawiając oczywiście okresy wojen, częstych pożarów i morowego powietrza. Niemniej prawy brzeg na setki lat pozostał na uboczu, niejako — przestał się liczyć. Miasto „ciągnęło” na zachód, wyraźnie odwracając się od rzeki, co można stwierdzić jednym rzutem oka na plan Poznania.

Decyzja druga

Wypada teraz przeskoczyć cały wielowiekowy okres rozwoju i rozbudowy Poznania, by zatrzymać się dopiero na minionych 22 latach od dnia wyzwolenia miasta po jakże katastrofalnej w skutkach hitlerowskiej okupacji i pożodze z 1945 roku. Tamten pamiętny luty pozbawił miasto ponad 55 procent jego zabudowy, przy czym w samej tylko „substancji mieszkaniowej” straciłszy 22 procent w porównaniu z rokiem 1939. Równocześnie życie na nowo wdarło się w owe zniszczone mury, a szybki rozwój podyktował drugą decyzję: trzeba szybko odtworzyć poprzedni stan, by jeszcze szybciej móc tworzyć bazę dla napływającej fali ludzkiej, jaka dążyła ku miastu z wielu stron. Ta druga decyzja postawiła Poznań na piątym miejscu w kraju. Przez ponad 20 lat rozbudowano dziesiątki istniejących fabryk, pobudowano wiele nowych, od fundamentów. Poznaniowi przybyło około 130.000 izb mieszkal-

nich, w których można było ulokować bez mała 200.000 osób.

Ciągle jednak rolę gra „Zachód”, lewy brzeg Warty, jakby decydujący o tym mieli na uwadze niepisany testament księcia z XIII wieku. Zbudowano więc puste pola Dębca, tworząc szybko nową dzielnicę miasta o powierzchni 45 hektarów sponad 14.000 mieszkańców. Przyszły też lata, w których zwrócono uwagę na wolne, rozległe pola zachodniej części Grunwaldu. Na li- czącym ponad 80 ha terenie, jak grzyby po deszczu wyrosły dziesiątki bloków mieszkalnych dla przeszło 30.000 lokatorów. Pominąwszy szereg pomniejszych osiedli i zabudowę terenów nadających się na małe zespoły typu plomb, miasto rosło jak na przysłowiowych drożdżach. Żadna z przedwojennych statystyk, nawet z okresów koniunktury, nie wykazuje takiego tempa rozwoju i rozbudowy. Ale też stopniowo zaczyna być ciasno na owym tradycyjnym „Zachodzie” Poznania.

Od wielu lat wskazywano — według prognoz demograficznych i planów rozbudowy przemysłu — że najdalej w roku 1980 miasto może już liczyć około lub nawet ponad 600.000 mieszkańców. Powstał zatem problem: dokąd pójść, jak przesu- nąć rozwój Poznania, gdzie budo- wać?

Decyzja trzecia

Prawy brzeg Warty, zapomniany przez wiele wieków, także przez współczesnych, dawno przestał być



bagnem. Wprawdzie grunty tu podmokłe (pod żyznym czarnoziemem zleżała gruba warstwa gliny), jednak wolne, przestronne, dające możliwości zabudowy swobodnej. I oto w końcu lat pięćdziesiątych zapada kolejna decyzja: przechodzimy na stary brzeg, na Rataje. Zaczynamy budowę osiedla-giganta, miasta przy mieście!

Powojenna historia naszego kraju zna niewiele takich przedsięwzięć. Można je zliczyć na palcach jednej ręki, łącznie z Nową Hutą i Nowymi Tychami. W ciągu kilkunastu zaledwie lat mamy wybudować na obszarze 2100 ha domy mieszkalne oraz usługi towarzyszące dla ponad 150.000 ludzi. Gdyby przeto zatrzymać teraz rozwój Poznania lewo- wóbrzeźnego, Rataje stanowiąc będą za kilkanaście lat jedną trzecią wielkości obecnego miasta (rachunek o tyle uproszczony, że z liczby 443.000 mieszkańców, bo tyłu już w Poznaniu mieszka, około 55.000 ma swoje mieszkania na Nowym Mieście).

Podjęcie decyzji o ponownym przejściu miasta na prawy brzeg Warty nie było sprawą łatwą. Wymagało to wielu obliczeń, badań, dokumentacji. I można wsłuchiwać się w głosy pesymistów, którzy wyrażają obawy, co z tego przedsięwzięcia wyjdzie, skoro już teraz budowniczy nowych Rataj toną w błocie, ale nie wolno nie widzieć, że lepszych terenów pod budowę takie-

Dokończenie na str. 2

Wybitny nasz pisarz — podróżnik, niezmordowany Arkady Fiedler wyruszył wczoraj w ponowną podróż do Brazylii. Na „handlowcu” M/S NORWID wypłynął z Gdyni do Rio de Janeiro. Jeszcze przed odjazdem ucieśliśmy rozmowę o nowej wyprawie autora „Kanady pachnącej żywicią”.

Po raz czwarty już jadę do Brazylii. Pasjonuje mnie dorzecze Amazonki. To ogromny szmat Ameryki Południowej, to tyle co 3/4 kontynentu europejskiego. To najwspanialsza chyba na globie puszcza. Przepyszna, o orgiastycznej wprost przyrodzie, niezmierzona i prawie bezludna. Tę olbrzymią przestrzeń zamieszkuje zaledwie 2 1/2 — 3 milionów ludzi. Wielcy odkrywcy — geografowie, podróżnicy i przyrodnicy od początków zeszłego stulecia kochali bogactwo Amazonii z wizją przyszłego spichlerza całego świata. Miało tam znaleźć miejsce 300, ba, może i 500, 600 milionów ludzi, mogących czerpać z tego nie przebranego rogu obfitości. Marzenia, marzenia... Nie pozbawione pozornego realizmu, okazały się pustymi mrzonkami. Wobec ogromu potęgi puszczy, jej wrogoci, bo tak to trzeba nazwać — staje się człowiek małym, dziecinnie bezradnym stworzeniem. Uświadamiam sobie to wszystko w całej pełni i chcę tym razem szczególnie przyjrzeć się temu właśnie problemowi. Dlaczego mianowicie po półtora wieku od tych optymistycznych przepowiedni puszcza amazońska pozostaje w stanie tak dzikim?

— Czy były już próby instalowania się współczesnego człowieka w puszczech Amazonii?

— Oczywiście, kilkadziesiąt lat temu Henry Ford, król przemysłu samochodowego, założył nad dopływem Amazonki, Tapajoz, plantację kauczuku, podobne do tych, jakie istnieją na Sumatrze czy Malajach. Nie pomogły wielomilionowe inwestycje potentata: najprościej w świecie na tym interesie „splajtował”.

Fiedler - znów nad Amazonką

Wielka, dostojna Pani — Puszcza potraktowała intruza bezlitośnie. Zniweczyła jego plantację. Pelen uznania dla postępowych wysiłków ludzkości w cichości ducha podziwiam nie ujarzmioną potęgę puszczy, która — jak dotychczas — odparła większość ludzkich zakusów.

— A jak ta wyprawa zapowiada się w czasie i przestrzeni?

— Może potrwać 6, może 8 czy 9 miesięcy. Czekam na olbrzymią trasę i, co tu dużo mówić, niemało roboty, gdyż zamierzamy dotrzeć do trudno osiągalnych ustroni. A więc z Rio de Janeiro wpięramy do Parany na 2—3 tygodnie, by odwiedzić „sta-

Dwaj generałowie

23 lutego w rocznicę wyzwolenia Poznania na scenie Teatru Nowego wystawiona zostanie sztuka Zbigniewa Szumowskiego pt. „Poznańskie Kredowe Koło” w reżyserii Marka Okopińskiego. Sztuka ta jest debiutem dramatycznym laureata ubiegłorocznej nagrody województwa i Poznania, publicysty „Głosu” i historyka — specjalisty od spraw drugiej wojny światowej i problematyki niemieckiej. Autor „Ostatnich dni Warthegeau”, publikowanych w „Głosie”, zajmuje się w niej wydarzeniami i ludźmi związanymi z wyzwoleniem Poznania i zdobyciem Cytadeli. Bohaterami sztuki Szumowskiego są dwaj generałowie: radziecki — Szemienkow, występujący w tekście bezosobowo jako dowódca korpusu i niemiecki: Mattern — b. komendant „twierdzy Poznań”. Tłem jej są walki o miasto i Cytadelę oraz rola i udział Polaków w tych walkach. Poniżej drukujemy fragment I części, rozpoczynający przedstawienie. (red.)

Poznań 22 lutego 1945 roku — późnym wieczorem

(Taras Opery rozświetlany blaskami wybuchów i pożarami. Odgłosy wystrzałów i detonacji. Przy lornetkach nożycowych dowódca armii i dowódca korpusu w otoczeniu kilku dalszych generałów i oficerów. Z otwartych drzwi wybiega pułkownik wywiadu. Zwraca się do dowódcy armii).

Pułkownik wywiadu: Towarzyszu głównodowodzący armii melduję, że wzięto do niewoli generała Matterna. Podobno ma list komendanta twierdzy Gonella. Czekam na rozkazy.

Dowódca armii: Niech go tu przyprowadzą, jak najszybciej. Walki nie przerywać.

(Obrót sceny. Wnętrze sali, pośrodku stoi duży stół zastawiony mapami, jakieś biurko, stylowy stolik z telefonami, nieco krzesła i foteli — najwyraźniej z zasobów rekwizytorni. Kiedy pułkownik odkłada słuchawkę polowego telefonu, do pokoju wchodzi generałowie z resztą swity. Jeden z oficerów zamknął drzwi na taras, zastania okna, podczas gdy dwóch żołnierzy wnosi lampy naftowe i stawia je na stole).

Dowódca armii: Awaria? (wskazuje na lampy naftowe).

Dowódca korpusu: Elektrownia wyremontowana przez Polaków nie daje rady. Kazałem przede wszystkim dać światło szpitalom.

Dowódca armii: Słusznie. Lekarze mają pierwszeństwo. A my nie zawsze mieliśmy takie luksusy (do jednego z generałów). Pomyśleć, że wasz punkt dowództwa w Stalinskim mieście! się kiedyś w piecu martenowskim. Dwieście metrów od Wołgi (do wszystkich).

Chciałoby się dać wojsku odpocząnek. Zwłaszcza że jutro rocznica naszej Czerwonej Armii, ale świętować będziemy chyba dopiero w Berlinie...

Co z pułkami, które już dzisiaj miały ruszyć ku Odrze?

Dowódca korpusu: Pułki zgodnie z rozkazem rozpoczęły załadunek — pierwszy transport minął Opalenicę.

Dowódca armii: Dobra. Jutro o szesnastej muszą być gotowe główne siły korpusu. Są potrzebne pod Kostrzynem. Ludzie odpoczną trochę w wagonach. Sztaby też powinny zakończyć robotę.

(W drzwiach staje adiutant)

Dowódca armii: A więc mamy już gości — czegoś się chyba dowiemy. (Adiutant otwiera drzwi. Wchodzi wysoki major w zimowym mundurze, na którym widoczne są ślady walk. Spod uszanki wystaje bandaż. Major wypreżywszy się służbowo, zaczyna meldować.)

Major: Towarzyszu Głównodowodzący Armii, major gwardii...

Dowódca armii: (wpadając mu w słowa): O, jeszcze jeden ze starych gwardii stalingradzkiej. Mówcie towarzyszu Litwin, jak go przyłapał?

Major: Zaczął się w budynku więziennym przy bramie. Dopiero kiedy się wdarliśmy, wybiegli jacyś Niemcy z ręcznikami w rękach. Wołali, żeby nie strzelać, bo tam generał. Rzeczywiście — siedział w jednej celi, ale niczym w salonie... tylko bardzo przestraszony. Oficerowie zaczęli znowu krzyczeć: Nicht schießen, general, komandir. A on patrzył ze strachem na moją tetetkę i zaraz chciał nas częstować kawą i papierosami. Zasiadł, ledwie wprowadziliśmy go na powietrze. Dopiero kiedy dałem mu spirytusu z manierki, oczy wylażyły mu na wierzch, i doszedł do siebie. Zaraz domagał się, by dać mu się obmyć i prowadzić do głównodowodzącego, bo ma ważną misję. Ale kiedy zażądałem, żeby się poddał, zaczął skomleć, że nie ma ze swoimi łączności.

Dowódca armii: A więc to tak. Nie przerywać szturm. (Do Litwina). A wy dawajcie tego Matterna.

(Major wychodzi, by po chwili wprowadzić Matterna, niskiego, przysadzistego, „z 16 pudów wagi”. Ślady sadzy oraz tynku na płaszczu z czerwonymi wyłogami, pomiędzy którymi sterczy „krzyż rycerski” podwieszony pod fałdą podgardla. Wyraźnie speszony, sapląc z emocji, próbuje jednak „wziąć się w garść”. Przyjrawszy się zebranym generałom radzieckim, odszukuje wzrokiem dowódcę armii i salutując mu uśmiechniętą dłoń przedstawia się)

Mattern: Generał major Erwin Mattern.

(Koso spojrzawszy na majora gwardii, który stanął za jego prawym ramieniem mówi z emfazą):

Mam zaszczyt przekazać panu głównodowodzącemu ważne pismo od Komendanta Twierdzy generała majora Gonella. Prosi o wzięcie pod opiekę rannych żołnierzy.

Dowódca armii: A gdzie sam komendant generał-major Gonell?

Mattern: Nie wiem, co się z nim dzieje. Zostałem już w południe odcięty.

OBRAZ II

Dnia 23 lutego 1945 r.

około południa:

(Ta sama sala; za oknami cisza)

Członek Rady Wojennej armii: Ponieważ, jak widzę, generał Mattern nie może rozmawiać o sprawach

Dokończenie na str. 2



„Pasjonuje mnie dorzecze Amazonki...”

— A kto jest ta druga osoba?

— Moja żona, która przy tej okazji odwiedzi swoje rodzeństwo w Rio de Janeiro...

Rozmawiał:

TADEUSZ H. NOWAK

Dwaj generałowie

Dokończenie ze str. 1

istotnych, spytamy więc jakie jest jego samopoczucie.

Mattern: (wzruszywszy ramionami i wdychając wymownie):

Jako generał muszę zaznaczyć, że w przydzielonej mi kwaterze nie ma łazienki z ciepłą wodą. I musiałem, mimo swojej rangi, spełniać elementarne wymogi osobistej higieny w sposób zgoła prymitywny. Po drugie — radziecki oficer, który asystował mi przy śniadaniu, zachował się nietaktownie, musiałem sam nalewać sobie kawę. Po trzecie: — nie pozwolono żołnierzom niemieckim po kapitulacji przedefilować przed swoim dowódcą. Dopuszczono natomiast, że podchodzili do nas uzbrojeni osobnicy w cywilnych, częstokroć wyszarganych, ubraniach. Z opasek na rękawach mogę domyślać się, że byli oni polskiej narodowości. Przy tym jakiś wyrostek zażądał, ode mnie mój ritterkreutz. Wobec tego, iż żądanie to przyjęto aprobowanym śmiechem — musiałem oddać order.

Muszę zwrócić uwagę na niestosowność takiego traktowania i jakkolwiek na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności znajduję się w niewoli, jako generał proszę o zwrot krzyża rycerskiego i osobistych dokumentów. Pod tym warunkiem deklaruję gotowość podzielenia się z głównodowodzącym moimi doświadczeniami oraz uwagami na temat ostatnich walk, naszej garstki przeciwko wielokrotnie przeważającym siłom atakującym.

Dowódca korpusu: Czy tylko to ma jeniec do zakomunikowania.

Mattern: Tak jest, to wszystko. Jestem jedynie żołnierzem. Wojskowym z powołania, wojskowym dobrej szkoły niemieckiej. W hierarchii wojskowej byłbym się tylko ciężką pracą oraz sumiennością w wykonywaniu obowiązków. Tu także wypełniałem tylko rozkazy. Bóg mi świadkiem, że jako człowiek głęboko wierzący, ubolewałem nad rozlewem krwi walecznych żołnierzy obu narodów.

Dowódca korpusu: Zawsze ci sami, niepoprawni... Czas byśmy przestali się wreszcie bawić w ciuclubabkę...

Co się tyczy Polaków, których obecność na Cytadeli tak dotknęła, a może przerażała jeniec: przypominam, że Polacy są i będą gospodarzami tej ziemi. Tym bardziej uprawnieni są do przebywania z bronią w ręku na terenie Cytadeli, że uczestniczyli w jej szturmie jako towarzysze walk wojsk radzieckich. A przede wszystkim nie można chwalić się przed nami bohaterskim oporem garstki żołnierzy. Być może dla niemieckiego generała 25 tysięcy poległych rodaków — to niedzgarstka. A przecież wzięliśmy jeszcze do niewoli co najmniej drugie tyle żołnierzy. Ponieważ jeniec nadal próbuje kłamać, uważam dalsze prowadzenie rozmów z byłym komendantem byłej Festung Posen za niepotrzebne. Jeniec będzie przesłuchany przez powołane do tego placówki Armii Radzieckiej (do oficera). Proszę odprowadzić jeniec.

(Mattern skonfundowany wstaje i próbując zachować godność, wychodzi w asyście lejtnanta).

Członek Rady Wojennej Frontu: Korzystając, że jesteśmy sami, przystąpmy od razu do sedna sprawy. W dowództwie Frontu panuje nazwijmy to... pewna niejasność. Obiecywałem do Odry zanim nieprzyjaciół przetrzuci swoje siły z frontu zachodniego. Rzeczywiście — zdołaliśmy na czas dojść do Odry i tym samym pokrzyżowaliśmy plany przeciwnika. Zdołaliśmy także zlikwidować koncentrację wojsk na Pomorzu. Wojska Frontu wypełniły więc z nawiązką wyznaczone zadania. Cóż kiedy nie wyszło tu w Poznaniu. Naczelna Kwatera miała informacje, że dowództwo niemieckie wiąże z Poznaniem poważne nadzieje...

Dowódca korpusu: Bezpodstawne.

Członek Rady Wojennej armii: Powiem nawet maniakie. Ale wy nie dotrzyмалиście terminu. Moskwa żąda od nas wyjaśnienia dlaczego walki o Poznań trwały nie trzy, lecz trzydzieści dni...

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

ODWAGA, AMBICJA, DZIELNOŚĆ...

W życiu ludzkim ważną rolę spełnia odwaga działania, odwaga myślenia, ambicja i dzielność. Pisze o tym w związku z konkursem Ministerstwa Kultury i Sztuki, „Przeglądu Socjologicznego”, Polskiego Radia, Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i „Tygodnika Kulturalnego” — na łamach tego ostatniego — Józef Chałasiński. Organizatorzy zwracają się z apelem o nadsyłanie pamiętników lub fragmentów, relacji lub wspomnień na temat wartości i ceny samodzielnosci. Wprowadzając czytelników w temat, prof. Chałasiński stwierdza:

„Odwaga, ambicja, dzielność — to określenie postawy człowieka wobec tych wartości życia, które się uważa za dodatnie — dobre, szlachetne, piękne — godne wcielania w życie i godne obrony również wtedy, gdy to się wiąże z dużym nakładem sił, a nawet z niebezpieczeństwem. Te postawy należą do duchowego klimatu życia ludzkiego, jako normalne jego składniki, tak dalece, że gdy ich braknie, atmosfera współżycia ludzi ze sobą staje się nienormalna, ludzie czują się źle (...). Odwaga, ambicja, dzielność, to również zasadnicze siły, jakie ludzkość zaangażowała od początków swojej historii w narodziny i rozwój cywilizacji. Bez tych sił nie byłoby postępu.”

„I MODEL CZŁOWIEKA KULTURALNEGO

Rozwojowi cywilizacji i utrwalaniu postępu sprzyja zarazem to, co określa się mianem kształtowania modelu człowieka kulturalnego. Problem ten nabiera tym większej wagi, że żyjemy w okresie postępującej specjalizacji, która jest rezultatem wzrostu tempa postępu technicznego i naukowego. Następuje podział na coraz więcej, coraz węższych specjalizacji. Z jednej strony jest to korzystne, bo prowadzi do podnoszenia poziomu ludzkiej wiedzy, z drugiej zaś powoduje jednak nierównomierność w poziomie kulturalnym człowieka.

Oto naukowiec czy inżynier może nie interesować się literaturą, muzyką lub plastyką, zaś kultura techniczna, reprezentowana przez muzykę, pisarza czy plastykę, bywa nieraz bardzo niska. Pisząc o tych sprawach na łamach „Tygodnika Demokratycznego”, Krzysztof Boruń, wyraża przekonanie, że nielatwa

jest droga do zapobieżenia negatywnemu oddziaływaniu specjalizacji na ogólny poziom kultury. Wiąże się to bowiem z kształtowaniem osobowości człowieka o szerokich horyzontach myślowych, zdolnego do świadomego wyboru wartości.

PĘD DO NAUKI

Kształtowanie modelu człowieka kulturalnego odbywa się ciągle i na różnych płaszczyznach. Niemalą rolę odgrywa w tym szkoła, nie tylko podstawowa, nie tylko ta dla młodzieży. Coraz częściej w murach uczelni zjawiają się dyrektorzy zakładów pracy, gospodarze miast i powiatów. W tym powszechnym pędzie do wiedzy (przed pięcioma laty było 30.000 pracujących studentów, obecnie jest ich ponad 100.000), widzieć trzeba nie tylko względy prestiżowe ambicjonalne. Samo życie coraz natarczywiej domaga się od



ludzi wysokiej fachowości; tylko fachowcy mają szansę utrzymania zdobytych przez siebie wysokich pozycji.

Państwo nie szczędzi na ten cel pieniędzy. Jak podaje K. Wojciechowski w „Głosie Nauczycielskim”, na wykształcenie inżyniera skarb państwa wydaje ponad 150.000 zł, na wykształcenie lekarza — 166.000 zł; a do tego doliczyć trzeba by wydatki własne na podręczniki itp. i sumy, przeznaczane na nowe gmachy szkolne, warsztaty, internaty itp.

Troską więc musi napawać z jednej strony fakt, iż ciągle zbyt wielu jeszcze studentów nie kończy nauki w terminie, a z drugiej, że ci, którzy podejmują trud jednoczesnej pracy i nauki, borykają się z niezrozumieniem w zakładach pracy — gdzie są zatrudnieni, czy w swoich środowiskach. A przecież — jak pisze Henryk Jankowski w „Argumentach” — ukończenie studiów da pracującemu tylko nieznaczne poprawienie warunków materialnych.

„Tym, co w jego przekonaniu całkowicie rekompensuje ogromny wysiłek, będzie osobista satysfakcja, wynikająca z rozszerzenia, zakresu swych wiadomości oraz uzyskania dyplomu ukończenia studiów uniwersyteckich.”

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Są utwory, które niezależnie od swych wartości artystycznych, przy całym podziwie dla wirtuozerii wykonania, zostawiają w odbiorcy niedosyt, poczucie jakiejś pustki, zbytnią zależność od wydumanej fikcji. I są też inne, gdzie następuje pełna harmonia sztuki z sumą wielkiego, o prawdę przeżywania wspartego doświadczenia. Dziś chciałbym zalecić kilka książek, w których u sedna tkwi osobiste przeżycie i doświadczenie.

Dwa tomy „Wspomnień” Stanisława Korwin-Pawłowskiego (tom I — „Na przełomie dwóch epok” i tom II — „Wyścig z życiem”) na pewno staną się najbardziej wziętym bestsellerem „Czytelnika” z okresu ostatnich miesięcy. I już nie chodzi o czas objęty wspominkami, lata 1885 — 1945, ani o obszar terytorialny (Witebszczyzna, Kursk, Moskwa, Petersburg, front rosyjsko-turecki, Zakaukazie w czasie rewolucji, Bliski Wschód w latach trzydziestych, Wrzesień 1939, Oświęcim, powstanie warszawskie) ani nawet o świadectwo uczestnika nader ważkich wydarzeń, ale o jakąś nieklamną autentyczną relację, o niemalże spowiedź z doznań, przemyśleń i reakcji. I to jest cenne, frapujące, nadające tym wspomnieniom z dwóch epok walor dokumentu, a jednocześnie zaciękawiające. No i przy tym co za szmat losu polskiego zawarł się na tych kartach!

A teraz powieść Jerzego Zawieyskiego „Konrad nie chce zejść ze sceny” (W pewnym sensie kontynuacja „Wawrzynów i cyprysów”). Jakże znów wiele tu prawdy, jak bardzo wiele — mamy prawo się tego domyślać — elementów własnej biografii autora — i zarazem, jak bardzo wiele tu Polski ukazanej w mistrzowskim rzucie retrospektywnym na tle ostatnich prawie siedemdziesięciu lat naszych dziejów. Konstrukcja powieści, gdzie w relacji współczesnej, z naszych dni Polski Ludowej, jednocześnie znajduje odbicie cała nie tylko jednostkowa, ale narodowa przeszłość, budzi podziw. Jest to książka i

polityczna i społeczna, przesycona aż do bólu troską o sprawy narodowej kultury, zarazem i powieść filozoficzna. Zawieyski zawarł tu jakby skondensowane własne widzenie świata, relację z własnych sukcesów i pomyłek, zmagani i triumfów — własnych, ale zarazem będących własnością poważnej części swego pokolenia.

Salomon Łastik — „Trudni rodzice”. Znowu inny rodzaj pisarski, tym razem szkice socjologiczno-obyczajowe, pisane z pozycji wychowawcy i czulego moralisty. Jest tu coś z aury korczakowskiej w umiłowaniu młodzieży, w trosce o regulowanie jej widzenia świata bez uszczuplania indywidualności, w dążeniu do wyjaśnienia

utwory Faulknera wsparta jest o elementy autobiograficzne. Przez Luciusa Priesta przemawia sam pisarz, zwierając się ze swych zetknięć z tymi cechami życia, które przez całą swą twórczość będzie piętnował, będzie z nimi walczył.

„Długi sen” Richarda Wrighta, (też seria z „Nike”) to również powieść o Południu, oglądanym oczyma pisarza murzyńskiego. Missisipi, główny ośrodek rasizmu w Ameryce Północnej, ukazał pisarza, który przeszedł bogatą szkołę życia, sens tej walki, którą odtąd, genialny samouk, będzie toczył w swojej twórczości. Książka napisana jest żarliwie, z dużym oddechem, tak przy tym bogata w realia, tak zarazem pełna w rysunku psychologicznym kreślonych postaci, że momentami w odbiorze czytelnicy odnosi się wrażenie zespolenia z opisywanym środowiskiem, z obrazem szerokiego świata, ukazywanym oczyma Wrighta.

I jeszcze Jetty Carleton „Księżycowe kwiaty”, utwór wiodący w klimacie znanym z lektur młodzieńczych, tyle że ukazany nie od strony romantycznej, pionierskiej przygody, ale od dramatycznej często prawdy czasu z górą półwiecza codziennego życia wielkiej miejsciny amerykańskiej. Rodzina Soamesów zaczynała od wędrowni wozem farmerskim nad dalekie Missouri, na farmie też starsze pokolenie zechce zakończyć swe dni. Ale między tymi faktami leży ogromna przestrzeń doświadczeń, prób, kształtowania charakterów. Leży ciągła walka o istotny sens bytu i pielęgnowanie wartości, nie tych najwyższych, lecz codziennych, pozor nie małych, ale nadających życiu właściwą barwę. Widzi to młode pokolenie, z innych kręgów świata wracające do rodzinnego domu. Następuje konfrontacja, niełatwa, niekiedy równająca się przyznaniu do klęski. Ale często też właśnie na odwrót, do wewnętrznego poczucia swej racji.

Eugeniusz Paukszt

Ze szkoły życia

nia nieporozumień i wychowania jakże często — rodziców, opiekunów, ciasnymi kategoriami mierzących życie, usiłujących je regulować według pruderyjnych, zakłamanych niejednokrotnie wzorców. Łastik ma doskonałe pole obserwacji, obcuje z tzw. trudną młodzieżą, zdeprawowaną, zepsutą. Z rutyną psychologa i zarazem wychowawcy zdiera zewnętrzne naloty, odsłania niezauważone wartości i — jakże często — winę znajduje wcale nie w tej ze psutej młodzieży.

A teraz od polskiego obrazu życia — skok do świata Ameryki. Znowu ukazanego poprzez pisarski autentyk. „Koniokrady” Williama Faulknera (seria z „Nike”) to ostatnia powieść wybitnego pisarza, opublikowana już po jego śmierci. Podtytuł utworu mówi wyraźnie: wspomnienie, bo też ta powieść jeszcze bardziej niż inne

POWRÓT NA STARY BRZEG

Dokończenie ze str. 1

go osiedla-giganta miasto nie ma. Nie zbyt gruntownie są też przemyślane opinie, jakoby trzeba nam było dalej brnąć na zachód, gdyż przy stałych prawie wiatrach zachodnich i wschodniej lokalizacji wielkiego przemysłu — przyszłe Rataje znikną w kłębach dymu i sadzy. A słyszałem też i zdanie, że cała ta nowa dzielnica stanowić będzie organizm mocno oderwany od reszty Poznania.

Oderwanie nie będzie takie groźne w przypadku pełnego zrealizowania w trakcie budowy zaplanowanych linii komunikacyjnych, zwłaszcza tras mostowych, zadykowanie — nie wchodzi w rachubę, gdyż spojrzenie na mapę miasta pozwala zauważyć, że wielkie fabryki nie leżą na linii budowanego już osiedla (który to fakt nie zwalnia oczywiście potentatów naszego przemysłu od zaopatrywania kominów w filtry

wylapujące sadzę), woda gruntowa — nie będzie groźna po założeniu systemu kanalizacyjno-odpływowego i zdrenowaniu terenu. Fakt, że te właśnie prace zostały nieco opóźnione z braku odpowiednich funduszy. Jednak budowa np. Nowej Huty w gorszych odbywała się warunkach i obecnie nikt tam nie tonie w błocie.

Optymizm Przemysłu I da podwaliny do budowy nowego, rozległego Poznania na lewym brzegu Warty. Innych możliwości wówczas nie było. Współcześni naszej epoki muszą wrócić na opuszczony i zapomniany brzeg, muszą wrócić do rzeki, która wreszcie stanowić będzie główną oś wielkiego Poznania przyszłości. Innego wyjścia też nie było. A swoją drogą — dziwnymi nie raz drogami kroczy historia, wyznaczana milowymi kamieniami wieków! Gdyby to można przewidzieć, co o obecnej decyzji rajców miejskich napiszą potomni...?

EUGENIUSZ COFTA

Tańcząca „Cepelia”



Ten zespół artystyczny powstał w Poznaniu przed pięciu laty. Właśnie obchodził swój młody jubileusz, z którego okazji zaprezentował się na specjalnym koncercie (zamkniętym) w Teatrze Polskim, w poniedziałek, 20 bm. „Cepelia” dała już 70 koncertów, w tej liczbie także podczas tournée po Szwecji. Opiekunem zespołu jest Spółdzielnia „Rytosztuka”, natomiast kierownikiem artystycznym W. Wróblewski. Nad stroną muzyczną repertuaru czuwa od początku istnienia zespołu J. Dabert. Zespół liczy 25 par, a w jego skład wchodzi także 5-osobowa, ludowa kapela. Wiek tancerzy waha się od 16 do 21 lat. W tym roku w planie — podróż do Jugosławii. Na zdjęciu — taneczne pary „Cepeli”. Fot. — K. Przychodźki